

Prof. Bohdan Szklarski: Pragmatyczny policjant, czyli Ameryka Obamy na arenie międzynarodowej w 2016

Obama stroni od deklaracji typu „zawsze i wszędzie”, unika składania obietnic bez pokrycia, korzysta z czasu do namysłu, włącza innych do poszukiwania rozwiązań, legitymizuje swoje koncepcje wszędzie tam gdzie sytuacja na to pozwala – pisze prof. Bohdan Szklarski dyrektor Ośrodka Studiów Amerykańskich Uniwersytetu Warszawskiego w najnowszym wydaniu „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Kres hegemonia? Świat po Obamie.

Koniec ostatniej kadencji prezydenta USA to moment kiedy analitycy i obserwatorzy wszelkiej proweniencji zadają pytanie o rolę Waszyngtonu w świecie. Bieżąca sytuacja międzynarodowa zawsze narzuca kontekst dla takich rozważań. Dla Johnsona i Nixona był to Wietnam, dla Forda Helsinki, dla Cartera Iran, dla Reagana Związek Radziecki, dla Busha Senora pierwsza wojna w Zatoce, dla Clintona Kosowo, dla jego następcy znów Irak. Skoro w tym roku dominują Syria i ISIS [tzw. państwo islamskie] można by więc myśleć, że to Bliski Wschód i wojna z terroryzmem są kluczem do oceny polityki zagranicznej Baracka Obamy. Podobnie jak to było w przypadku Cartera tak i w przypadku Baracka Obamy przyjęcie takiego sytuacyjnego i narzuconego chwilą filtra byłoby nie tylko nieadekwatne ale wręcz nadmiernie te oceny ograniczające. Spojrzenie na „świat według Obamy 2016” musi być znacznie szersze.

Jaka miarę przyjąć dla zrozumienia polityki Obamy i roli USA na arenie międzynarodowej? Można patrzeć z przez pryzmat składanych obietnic (podejście retoryczno-praktyczne) ale też porównywać dokonania z oczekiwaniami (a te już mogą pochodzić z wielu źródeł); można badać kondycję świata na początku i końcu kadencji (złudny obiektywizm); można wreszcie porównać danego przywódcę z poprzednikiem, co w przypadku Obamy anti-Busha jest ujęciem powszechnie stosowanym przez jego stronników albo z wielkimi poprzednikami (pułapka ahistoryzmu).

Niezagrożony twardy hegemon

Spróbujmy porównać świat ze stycznia 2009 z tym dzisiejszym z wielu perspektyw tak aby usatysfakcjonować zwolenników różnych podejść do polityki światowej. Pod względem ilości amerykańskich żołnierzy w strefach konfliktu Stany Zjednoczone utrzymują obecność wojskową w 134 państwach na świecie w tym jest 800 baz wojskowych w 80 państwach. 370 z nich przypada na Niemcy (174), Japonię (113) i Koreę Południową (83). Koszt ich utrzymania szacuje się na 156 miliardów USD rocznie. Dla porównania Wielka Brytania, Francja i Rosja mają w sumie takich baz 30. Pod koniec Zimnej Wojny USA utrzymywały 1600 baz wojskowych w 40 krajach świata. Stacjonowało w nich 300,000 żołnierzy. Dziś tych żołnierzy pozostaje w zagranicznych bazach jedynie nieznacznie mniej bo 250 000 natomiast zasięg ich rozmieszczenia podwoił się do 80 państw. Czas urzędowania Baracka Obamy nie przyniósł w tej kwestii żadnych znaczących zmian.

Skala zaangażowania USA pozostaje nieporównywalna z żadnym innym państwem również w kwestiach finansowych. W 2015 Stany Zjednoczone przeznaczyły 866 mld USD na „wydatki związane z prowadzeniem konfliktu” (*war related funding*), to o 55 mld USD więcej niż pod koniec kadencji prezydenta Busha. Stany Zjednoczone przeprowadziły operacje wojskowe w 133 państwach, większości tajne, często za pomocą dronów. Bush skorzystał z nich 51 razy, Obama 372.

Amerykańska pogonь za terrorystami i wrogami jest dziś mniej widoczna, bardziej wybiórcza ale nie mniej intensywna niż za kadencji poprzednika. Zaowocowało to 60% spadkiem liczby ofiar w porównaniu do Busha z prawie 5000 do nieznacznie ponad 2000 w ciągu dwóch kadencji. Amerykańskie siły specjalne działają selektywnie. W skali światowej amerykańskie wydatki na cele wojskowe pozostają w przedziale 34% (1988, 1990) a 41% (1992, 2004, 2010). W roku amerykańskie wydatki na wojsko w wysokości 598 mld USD stanowiły 36% całkowitych wydatków na te cele na świecie (1,6 biliona USD). Kwota jaką USA wydatkują na cele wojskowe równa jest temu co kolejnych 9 państw wydaje na te cele. Dla porównania chińskie wydatki zbrojeniowe to 180 mld USD a rosyjskie to 66 mld USD.

Jak na państwo, które w opinii wielu krytyków Obamy znacząco osłabło w ostatnich ośmiu latach, są to sumy i proporcje jednoznacznie świadczące o utrzymaniu się amerykańskiej hegemonii w świecie, przynajmniej gdy chodzi o tzw. „twardą siłę” (*hard power*). Droga porównań statystyk wydatków, rodzaju uzbrojenia czy zasięgu obecności poza krajem tak ze swoim poprzednikiem jak i pomiędzy

krajami nie pozwoli nam ocenić dorobku Baracka Obamy i roli USA w dzisiejszym świecie. Trzeba więc szukać innych miar o bardziej „politycznym” a więc subiektywnym charakterze.

Enigmatyczna doktryna Obamy

Zwolennicy mierzenia znaczenia aktorów na międzynarodowej arenie zapewne dodadzą, że oprócz samej przewagi technicznej, ilościowej i jakościowej liczy się zdolność i sposób jej wykorzystania. Szukają więc „słabości Ameryki Obamy” nie w liczbach lecz w efektach jego decyzji i działań.

Idąc tą drogą pierwsze kroki trzeba więc skierować w poszukiwaniu „doktryny Obamy”. Trzeba przyznać, że koncepcja ta jest dość enigmatyczna. Sam Obama nie pomaga nam ją zdefiniować. W kolejnych ważnych przemówieniach co najwyżej serwuje nam kolejne cele i strategie, które zdają się definiować jego wizję obecności Ameryki w świecie. W Pradze w 2009 nakreślił wizję świata bez broni nuklearnej jako idealnego sposobu na zapewnienie wszystkim bezpieczeństwa. Idealistyczną wizję oparł na wzmocnieniu reżimu wprowadzonego przez traktat o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej (NPT) z 1967 roku oraz na odpowiedzialnych porozumieniach dwustronnych między państwami posiadającymi już taką broń. Uwydatnił też w swoich wywodach zamiar obniżenia rangi nuklearnego zastraszania w Amerykańskiej doktrynie wojskowej oraz dążenie do zwiększenia międzynarodowego nadzoru nad dostępem i handlem materiałami rozszczepialnymi. Z tej perspektywy podpisanie układu START z Rosją w 2011 oraz międzynarodowy traktat z Iranem z 2013, a

nawet wspólne z Rosją zmuszenie reżimu Assada w Syrii do wydania i wyrzeczenia się broni chemicznej, muszą być widziane jako wyrazy urzeczywistnienia tej strategii.

W kairskim wystąpieniu, na rok przed „arabską wiosną” zarysował wizję świata, w którym odmienne religie, systemy wartości i kultury mogą pokojowo współistnieć. Tym samym zanegował Huntingtonowskie, dość apokaliptyczne, przewidywania konfliktu kulturowego jako przyczyny wojen w przyszłości. Pokój w świecie według Obamy jest możliwy gdy zaczniemy budować relacje na zrozumieniu tego co różne cywilizacje łączy a nie dzieli. Było to kolejne wystąpienie Prezydenta, w którym wyraźnie zapowiedział, że użycie siły nie może być jedynym ani nawet pierwszym działaniem w sytuacji konfliktu międzynarodowego. Rysował jednocześnie wizję innego świata, gdzie pokój opiera się na moralnym charakterze międzynarodowych instytucji, do czego amerykańskie przywództwo ma się walczyć przyczynić. Komitet Noblowski potraktował słowa Baracka Obamy z pierwszego roku urzędowania niezwykle poważnie, wręcz jak wyrocznię dalszych działań przyznając mu Pokojową Nagrodę w tym, samym roku.

Światowi komentatorzy pozostali bardziej sceptyczni, niemniej pierwszy rok urzędowania prezydenta Obamy ugruntował przekonanie, że doktryny Obamy należy poszukiwać przede wszystkim w stylu i doborze narzędzi do urzeczywistnienia najważniejszych interesów USA na arenie międzynarodowej. Tak jak obiecywał starał się jak mógł odejść od unilateralizmu poprzednika i tworzenia wrażenia, że użycie siły jest jak najbardziej prawdopodobną drogą postępowania. Obama obiecywał, że dołoży wszelkich starań by środki dyplomatyczne, perswazja, zachęty gospodarcze, stały się priorytetowymi środkami tam

gdzie ich celowość była wskazana. Nie zmienia to faktu, że gdy trzeba było wysłał 30 000 dodatkowych żołnierzy do Afganistanu, zintensyfikował wykorzystanie dronów lub sił specjalnych do operacji na mniejszą skalę niż interwencja militarna.

Rozsądek czy blamaż?

Obama umiał też wyciągać wnioski z własnych błędów, które mogły być pochodną pragnienia odejścia od środków militarnych nawet w polityce bezpieczeństwa. Lekcja z Iraku: wycofanie zgodnie z obietnicą prawie wszystkich wojsk do grudnia 2011 przyniosło destabilizację, której częściową pochodną jest powstanie silnego przyczółka dla państwa islamskiego ISIS. W Afganistanie, skąd wojsko wycofano trzy lata później, Obama pozostawił 10 000 żołnierzy do pełnienia funkcji szkoleniowych i obronnych. Nie oznacza to jednak, że w innych częściach świata Obama ochoczo angażował amerykańskie wojsko. Wręcz przeciwnie: w Syrii, w sierpniu 2013 w ostatniej chwili odstąpił od ataku raketowego na wojska Assada, mimo, iż ten użył broni chemicznej, co według wcześniejszych deklaracji Obamy odnośnie broni masowego rażenia (WMD) miało być przekroczeniem „czerwonej linii”, która usprawiedliwiać miała bezpośrednie użycie siły przez USA. Tak się nie stało, Obama wykorzystał dość zawiłe kruczki polityczne „poszukiwania zgody Kongresu” na takie działanie. Przypadek braku działania w Syrii w tamtej sytuacji jest powszechnie uważany za błąd Obamy. Brak działania militarnego mimo wcześniejszych deklaracji wynikał zapewne z faktu, że Brytyjski parlament odmówił premierowi Cameronowi zgody na działanie militarne jak również z wcześniejszych zapewnień Obamy o użyciu broni tylko w ostateczności gdy zagrożone są kluczowe interesy Stanów Zjednoczonych. W sytuacji syryjskiej nie

do końca były jasne konsekwencje takiego ataku jak również dalsze kroki, które mogły być wymagane, przede wszystkim ewentualna konieczność wysłania wojsk na teren Syrii.

Reputację Obamy w jakiejś mierze „uratował” Władimir Putin wynegocjując, przy udziale Obamy, tydzień później zgodę Asada na wydanie całej broni chemicznej. W ten sposób moment „utruty twarzy” Ameryki został przykryty sukcesem dyplomatycznym, który według Obamy doprowadził do daleko lepszych rezultatów niż ewentualne militarne „ukaranie” Asada. Kosztów symbolicznych w postaci utraty przekonania o amerykańskim zdecydowaniu (*resolve*) i dochowaniu własnych obietnic nie sposób ocenić. Dla krytyków Obamy brak działania w Syrii na zawsze pozostanie blamażem i oznaką słabości przywództwa, podczas gdy jego zwolennicy patrzeć będą na całokształt sytuacji i uznają ją zapewne za przejaw rozsądku i sukces dyplomacji. W jakiejś mierze obie strony mają racje.

Syria – moment zwrotny prezydentury?

Jest więc Ameryka pod przywództwem Obamy słabym policjantem bo prezydent jest zakładnikiem własnych słów i idealistycznych wyobrażeń o świecie? Czy jest ograniczony w swoim przywództwie pragnieniem bycia anti-Bushem stąd unika użycia siły nawet tam gdzie jest to moralnie i politycznie usprawiedliwione? Niekoniecznie. W przypadku operacji schwytania Osamy bin Ladena w jego kryjówce w pakistańskim Abbotabadzie, Obama wykorzystał w pełni uprawnienie prezydenckie, które jego poprzednik uzyskał od Kongresu po 9/11, 2001. Zgodnie z zasadami Zgody na Użycie Siły (Authorization to Use Military Force AUMF) wysłał amerykańskich żołnierzy na teren obcego

kraju na akcję militarną bez jego zgody niczym jego wszyscy poprzednicy po Drugiej Wojnie światowej. Z tego samego uprawomocnienia korzysta Obama dzisiaj w Syrii, używając dronów do chirurgicznych eliminacji terrorystów i przeciw ISIS. Działanie takie jest w pełni zgodne z filozofią „stałej gotowości na wojnę” (*permanent war footing*) wszechobecnej w Białym Domu.

Zamiarem Obamy było jej zakwestionowanie. Jednak praktyka i kontekst historycznej chwili nie pozwolił mu na to. Czy oznacza to że idealista-moralista poniósł porażkę w starciu z waszyngtońskim establishmentem, a także w wewnętrznej walce z realistą-pragmatykiem? Nie do końca. Sam Obama określa dylematy sprawowania przywództwa unaocznione tamtym kryzysem syryjskim w sposób następujący: „Jestem dumny z tej decyzji [o zatrzymaniu ataku]. Nie ugiąłem się [pod naciskiem establishmentu] sam przemyślałem co jest najlepsze dla USA w tej sytuacji, z punktu widzenia nie tylko Syrii ale i naszej [amerykańskiej] demokracji”. Jak sugeruje Jeffrey Goldberg w *The Atlantic* był to moment wyzwolenia dla Baracka Obamy, wyzwolenia z okowów mentalności wojennej Waszyngtonu i ograniczających uścisków bliskowschodnich sojuszników. Historia oceni czy mamy to tylko pocieszanie się Obamy czy rzeczywisty akt odwagi.

Okrażanie Chin

Z dalszych działań na arenie międzynarodowej nie widać jednak aby przesilenie syryjskie z 2013 było momentem zwrotnym w jego prezydenturze. Przynajmniej nie natychmiast. Jest prawdą jednak, że najważniejsze dokonania w jego polityce zagranicznej, które wpłynęły

na postrzeganie USA w świecie dopiero miały nadejść. Wśród tych dokonań, które na pewno wpłynęły na pozycję USA w świecie, a na pewno na ich percepcję, trzeba wymienić polityki, które były odwróceniem praktyk promowanych przez poprzedników. Mówię tu o czterech „otwarciach” Obamy: Wietnam, Burma, Kuba i wreszcie najważniejsze z nich wszystkich – Iran.

Mimo, że to Bill Clinton był pierwszym prezydentem USA, który odwiedził Wietnam po zakończeniu wojny to Barack Obama nadał tym relacjom znamiona normalności, znosząc embargo na handel bronią z Wietnamem. Dziś Wietnam to jeden z ważniejszych partnerów politycznych USA w strategii okrążania Chin, ze szczególną rolą w rejonie Morza Południowochińskiego. Podobnie rzecz się ma z Burmą, rządzoną przez długie lata przez juntę generałów izolowaną na arenie międzynarodowej pod naciskiem USA. Dyplomatyczne naciski i strategia długofalowego nacisku doprowadziły burmański reżim do wejścia na drogę ku kontrolowanej demokracji i gospodarczego otwarcia na świat. W 2012 odwiedził Burmę a cztery lata później zniósł embargo handlowe. Wszystko to bez jednego wystrzału lub nawet groźby militarnej konfrontacji. Podobnie się ma sytuacja z Kubą, izolowaną politycznie i gospodarczo od czasu nieudanej amerykańskiej inwazji w Zatoce Swiń (1961). Po 50 latach embargo Barack Obama przy współpracy Watykanu podjął zdecydowane dyplomatyczne kroki zmierzające do otwarcia Kuby a w 2016 odwiedził wyspę jako pierwszy amerykański prezydent od 1928 roku.

Dyplomacja zamiast wrogości

Tymczasowe Porozumienie z Genewy oficjalnie zwane Wspólnym Planem Działania (*Joint Plan of Action*) zawarte 24.11.2013 między Iranem a pięcioma stałymi członkami Rady Bezpieczeństwa ONZ oraz Niemcami, jest prawdopodobnie najważniejszym międzynarodowym osiągnięciem Baracka Obamy. Porozumienie ograniczyło lub wręcz zamroziło program nuklearny Iranu i poddało go międzynarodowemu nadzorowi w zamian za zawieszenie sankcji gospodarczych nałożonych na Teheran po rewolucji w 1979. Dla wielu jest ono równoznaczne z powstrzymaniem ewentualnego nowego konfliktu zbrojnego na Bliskim Wschodzie jaki na pewno byłby wybuchł gdyby pod naciskiem lub przy udziale Izraela dokonano militarnego ataku na irańskie centra badawcze i fabryki związane z programem rozwoju energii nuklearnej umożliwiające zbudowanie broni nuklearnej w nieznanej nam perspektywie czasu. Nie chodzi tu o szczegóły ale o wymowę tego porozumienia. USA doprowadziły do zgody wszystkich pięciu stałych członków Rady Bezpieczeństwa i przy pomocy wielostronnych środków dyplomatycznych (nacisków i zachęt wszelkiej natury) zmieniły agresywną politykę Iranu, tworząc jednocześnie platformę dalszego współpracy w innych kwestiach na Bliskim Wschodzie, gdzie szyicki Iran jest potencjalnie ważnym graczem. Krytycy tego układu, przede wszystkim Izrael i „jastrzębie” w Kongresie USA, widzą w nim „zwycięstwo” Iranu, który w zamian za obietnice zamrożenia programu nuklearnego otrzymał zawieszenie sankcji i dostęp do swoich aktywów w zachodnich instytucjach finansowych, zamrożonych od ponad 35 lat. Po trzech latach wdrażania tego reżimu kontrolnego nie ma na razie danych by twierdzić, że jak twierdzą przeciwnicy porozumienia Obama po raz kolejny osłabił pozycję USA i ich sojuszników w tym kluczowym rejonie. Wręcz przeciwnie, porozumienie zdaje się być dochowywane przez wszystkie strony.

Widać w tych działaniach wyraźną prawidłowość, typową dla polityki Obamy: odejście od polityki strachu i wrogości, wykorzystanie relacji handlowych, stopniowa eliminacja barier gospodarczych i naciski dyplomatyczne przełamujące izolację zwieńczone prezydencką wizytą, która potwierdza amerykańską obecność w danym rejonie świata. Obama zdaje się odnosić szczególną satysfakcję z sukcesu polityki otwarcia za pomocą środków dyplomatycznych, dwustronnych (Wietnam i Burma) lub wielostronnych (Kuba i Iran). Ten sposób prowadzenia polityki międzynarodowej: najpierw dyplomacja, środki miękkie lub gospodarcze a gotowość użycia siły daleko w tle jest zgodny z wykładnią polityki zagranicznej jaką Obama serwował światu w swoich wystąpieniach od początku kadencji.

Kierunek Azja

Osobna karta w polityce Obamy to relacje z Chinami. Amerykańska i światowa uwaga w sposób naturalny przeniosła się z nad zimnowojennego Atlantyku nad post-zimnowojenny Pacyfik. Ten zwrot ku Azji (*pivot to Asia*), częściowo naturalnie spowodowany szybko rosnącym znaczeniem Chin i Indii budujących coś na kształt alternatywnego bloku gospodarczego BRIC oraz koncentracją działań antyterrorystycznych w Azji centralnej, przede wszystkim w Afganistanie i Pakistanie. Inni widzą w nim również świadome nakierowanie uwagi na region, w którym swoją pozycję buduje nowy globalny rywal Ameryki – Chiny. Koncentracja na rywalizacji z Chinami jest też owocem konstatacji, że Rosja nie stanowi najważniejszego zagrożenia a Europa przestała być potencjalnym polem konfliktu. Stosunki z Chinami to coś znacznie więcej niż zastępstwo dawnej rywalizacji z ZSRR nowym rywalem. To mieszanka rywalizacji

(świadomej i narastającej) i współpracy (ostrożnej i wielostronnej). Pojawiają się jednak wyraźne zwiastuny, że będą to stosunki dużo bardziej złożone niż te z ZSRR a potem z Rosją.

Dla jednych jest to kolejna sfera widocznej porażki Obamy i osłabienia USA: Juan nadal przewartościowany, bilans handlowy nadal niekorzystny, Tybet wchłonięty, wyspy paracelskie w budowie, koreański program nuklearny również. Inni widzą relacje z Chinami w sposób dużo bardziej złożony. Nie negując braku postępu we wszystkich wyżej wymienionych sferach, stronnicy Obamy zwracają uwagę na skuteczność Obamy w dwóch wymiarach „chińskiej strategii”: z jednej strony mamy „okrążanie” Chin na niwie handlowej za pomocą transpacyficznego układu o wolnym handlu (*Trans-Pacific Partnership*) TPP zawartego w lutym 2016 między 12 krajami znad Pacyfiku (bez Chin); z drugiej widzimy wciąganie Chin do działań wspólnych na rzecz rozwiązywania (wspólnych) globalnych problemów takich jak kryzys ekologiczny i globalne ocieplenie. To dopiero początek długiej drogi zmierzającej do ograniczenia ekspansji Chin na Pacyfiku i w krajach Afrykańskich. Na razie w wielu sferach Chiny przeważają, na przykład prowadząc intensywną politykę kredytową i inwestycyjną w tzw. państwach Trzeciego Świata, szczególnie w Afryce sub-Saharyjskiej. Waszyngton, zajęty wojną z terroryzmem, budowaniem powojennej państwowości Afganistanu i Iraku nie wszędzie nadąża za chińską polityką, ale ją niewątpliwie zauważa i reaguje w miarę dostępnych narzędzi i środków.

Bez imperialnego przeciążenia

To kolejna bardzo ważna cecha „doktryny Obamy” – dostosuj zamiary do siły i możliwości aby uniknąć „imperialnego przeciążenia” (*imperial overstretch*), które cechowało politykę poprzednika. Obama stroni od deklaracji typu „zawsze i wszędzie”, unika składania obietnic bez pokrycia, korzysta z czasu do namysłu, włącza innych do poszukiwania rozwiązań, legitymizuje swoje koncepcje wszędzie tam gdzie sytuacja na to pozwala. Doktryna Obamy jest połączeniem negocjacyjnego stylu z moralnym multilateralizmem. Nie oznacza to, że rezygnuje z użycia siły. Wykorzystanie operacyjne w Syrii, Iraku i Pakistanie sił specjalnych i dronów jest dowodem na to, że nie jest Obama idealistą-moralizatorem, który skłonny jest utopić działanie w morzu słów jak to widzą jego krytycy. Obama widzi swoje przywództwo jako naprawianie tego co zostało zepsute przez Busha (wymuszanie, wojna, tortury, jednostronność, polityki) a potem poszukiwanie wielostronnych rozwiązań dyplomatycznych dla zagwarantowania wpływu i bezpieczeństwa USA i ich sojusznikom. Wpływ Ameryki widzi jako pochodną nacisków i współpracy a nie gróźb i działań doraźnych. Jego taktyka jest oparta na cierpliwości, którą można nazwać pragmatyzmem, a strategia na wartościach amerykańskiego credo.

Obama tak jak Bush i wielu ich poprzedników wierzy, że USA mogą być dla innych rozświetlonym miastem na wzgórzu (*shining city upon a Hill*) ale podejmuje się urzeczywistniać tę misję tylko wtedy gdy okoliczności na to pozwalają. W innych przypadkach pozostaje pragmatykiem poruszającym się różnym tempem drogą wytyczaną kluczowymi amerykańskimi interesami. Poruszanie się po tej drodze wymaga sprawnego używania narzędzi i jak również i hamulców (vide czerwona linia w Syrii). Po ekspansywnej i zideologizowanej polityce Busha takie podejście może rodzić niedosyt.

Aby jednak ocenić skuteczność Obamy w zapewnieniu USA roli przywódcy światowego trzeba spojrzeć na to co zostawia po sobie sensie materialnych dokonań i zobowiązań. Na ile 8 lat jego rządów ogranicza następcę w kwestii celów, narzędzi, hierarchii problemów? Na ile związał mu/jej ręce swoimi działaniami i retoryką a na ile uprawomocnił otwierając nowe płaszczyzny współpracy i wyznaczając kierunek działania. Przywództwo amerykańskich prezydentów w sferze polityki zagranicznej ma charakter kumulatywny. Nadejście kolejnego Prezydenta nigdy nie oznacza „nowego początku” lecz jedynie „nową wrażliwość” i „nowe drogi” w ramach polityki kontynuacji. Narzędzia militarne i dyplomatyczne powołanie do życia lub wznowione przez poprzednika stają się częścią arsenału dostępnego następcy (nawet gdy, jak Obama, odcina się werbalnie od swego poprzednika). To on oceni ich użyteczność. W ostatecznym rozrachunku skuteczność polityki Obamy zależy od miary i perspektywy z jakiej na nią patrzymy. Najpierw trzeba się zastanowić nad wizją świata proponowaną przez Obamę. Jeśli się z nią zgodzimy to ocena będzie pozytywna, jeśli nie to będzie musiała być krytyczna.

Prof. Bohdan Szklarski